

A propos

Nowy Rok p. Filipa

Pan Filip obudził się dość późno, bo dopiero około trzeciej popołudniu. Właściwie obudził go, wyznajmy o-twarcie, z wielkim trudem, gospodyni, zawiadamiając, że przyszedł jacyś dwaj panowie.

Pan Filip wstał, wypił szklankę wody z cytryną, wciągnął szlafrok, wypił znowu szklankę wody z cytryną, włożył pantofel (drugiego nie mógł znaleźć) i pokrzepiwszy siły trzecią szklanką wody z cytryną, wyszedł do gości. Dwaj panowie byli mu nieznanymi. Przedstawili się bardzo grzecznie i zakomunikowali, że przychodzą w imieniu p. Pieczonki.

— Mojego szefa? — zdziwił się mile p. Filip. — Bardzo przyjemnie.

— Nie wiem, czy bardzo przyjemnie — odparł zimno jeden z panów — w każdym razie nasz młodszy, pan Pieczonka żąda satysfakcji spowodu wczorajszego zajścia.

Pan Filip zdziwił się jeszcze bardziej.

— Wczorajszego zajścia? Jakiego zajścia?

— Przecież pan chyba pamięta, że obchodził pan Sylwestra „Pod Pieczonym Pawiem”, gdzie przyszedł pan w stanie... no, mniejsza z tem... dość, że zachowywał się pan w sposób conajmniej dziwny i między innymi znieważał pan czynnie swego własnego szefa...

Pan Filip opadł bezwładnie na fotel...

W ciągu następnej godziny odwiedził pana Filipa:

kelner z gospody „Pod Tańczącym Rakiem”, przedstawiając krótki rachunek: trzy kolejki wódki dla całego lokalu 27 zł, 2 lustra, 11 szczytów krzesła, bufet, akwarium ze złotymi rybkami 658 zł, razem 685 złotych;

brat narzeczonej p. Filipa, uroczej panny Stasi, który bez żadnych wstępów i bliższych wyjaśnień wielokrotnie znieważał p. Filipa i wszedł, rzuciwszy na stół pierścionek zaręczynowy;

dorożkarz nr. 95468, który odstawił konia, zakupionego przez p. Filipa o godzinie 4 rano na pl. Narutowicza („Rany Boskie — pomyślał p. Filip — to ja byłem także i na

placu Narutowicza?"). Ponieważ p. Filip nie mógł dopłacić brakującej sumy 246 złotych, dorożkarz oddał 4 złote zadatku i wyszedł.

— Uczciwy jakiś człowiek — pomyślał p. Filip, kładąc się do łóżka spowrotem.

Ostatnim gościem noworocznym była p. Wikcia Staporek, sierota, która, jak się okazało, p. Filip wziął na wychowanie o godzinie 6 rano na placu Unji Lubelskiej. Sierota przysłała z kuferkiem i pierzyną, przećwiczko czemu gospodyni gorąco protestowała. Wynikła dłuższa kontrolersja, której już p. Filip nie chciał słuchać i nakrył się kołdrą na głowę.

Jak przez mgłę słyszał p. Filip, że sierota wyszła, klnąc w żywe kamienie gospodynię i pana Filipa.

Tragedja nędzarzy

Matka truie synka

nie mogą mu zapewnić środków utrzymania

Eugenja Latowska stanęła wczoraj przed Sądem Okręgowym pod zarzutem usiłowania otrucia swego 9-letniego nieślubnego synka, Ryszarda.

Latowska była robotnicą w fabryce „Plutos” w Warszawie. Przed sześciu laty porzuciła męża i od tej chwili zamieszkała razem z synkiem i matką. Ostatnio utraciła pracę w fabryce i znalazła się bez środków do życia.

Kiedy nędza zabrała do mieszkania robotnicy, pomiędzy matką a córką stosunki stały się coraz gorsze. Wzajemne wymówki, sprzeczki i kłótnie były na porządku dziennym. W marcu b. r. Latowska postanowiła skończyć z życiem. Żal jej było Rysia, który cierpiałby bardzo w razie utraty matki i jedynej żywicielki. Wówczas w umyśle nieszczęśliwej kobiety zrodziła się tragiczna myśl zabicia również i dziecka. Do jedzenia, przygotowanego dla chłopca, Latowska wspaniała truciznę na szczury, następnie zaś w zamierze samobójczym na-

pila się esencji octowej. Gdy Rysio dostał straszliwych boleści i witał się w bólach, przerażona matka wezwała pogotowie, zaklinając lekarza, ażeby ratował przedewszystkiem jej dziecko. Lekarz wypompował żołądek chłopca i w ten sposób zachował przy życiu. Uratowano i samobójczynię.

W Sądzie Okręgowym Latowska przyznała się do winy. Utrzymała, że do rozpaczliwego kroku pchnęła ją skrajna nędza i brak jakiegokolwiek nadziei na otrzymanie zajęcia. Po utracie pracy w fabryce „Plutos” Latow-

ka napróżno kołatała do rozmaitych fabryk. Wszędzie mówiono jej, że pracy dla niej niema. Wówczas, gdy wyczerpała już ostatnie środki, zdecydowała się na tragiczne wyjście z sytuacji. Natychmiast jednak po czynnie na widok cierpień chłopca, poczęła żałować tego kroku.

Sąd Okręgowy, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, że Latowska dopuściła się przestępstwa z nędzy i okazała skruszę wymierzył jej łagodną karę 3-letniego aresztu, którą zawiesił na dwa lata.

Gentlemenerja w sporcie żydowskim

Mecz w sali jadalnej

Wczorajsze „Warszawskie Radio” podaje opis charakterystycznego zajścia, jakie miało miejsce w klubie nieporozumienia między dwoma żydowskimi klubami sportowymi, w Zakopanem.

W ubiegłą środę około godziny 8 wieczorem, w pewnym pensjonacie, w którym mieszkali członkowie żydowskich klubów sportowych „Maraton” i „Gwiazdy”, kiedy całe towarzystwo pensjonatowe zebrało się przy kolacji, wybuchła między sportowcami zacięta bójka. W sali jadalnej powstało straszliwe zamieszanie, hałas i rozległy się przeraźliwe krzyki. Zaczęły w powietrzu latać butelki, talerze i szklanki, pleć piękna dostała szpawów, słowem cicha sala jadalna pensjonatu stała się nagle terenem okropnej „machlojki” (walki).

Załatwianie w tak wytworny sposób nieporozumienie między gentlemianami sportowcami wynikało z pozornie błahego powodu. Poprostu, kiedy członkowie klubu „Gwiazda” spożywali już

kolację, wpadł do jadalni klub „Maraton” i zażądał kategorycznie, aby „Gwiazda” odstąpiła mu swoich najlepszych przytuli, bo klub „Maraton” chce jeść zaraz.

— To „Gwiazda” nie może czekać, nie?

Napróżno sekretarz „Gwiazdy” p. Lichtenstein w sposób wykwintny, lecz stanowczy tłumaczył maratończykom, że teraz jest kolejka „Gwiazdy”, niecierpliwi sportowcy nie chcieli ustąpić i zamiast wdawać się w dalsze pertraktacje cisnęli niefortunnemu dyplomacie prosto w nos talerzem. Członkowie „Gwiazdy” zrozumieli ten dyskusyjny gest jako wyzwanie do walki, a utwierdził ich w tym mniemaniu fakt, że po talerzu poleciała na sekretarza p. Lichtensteina niemiejska celnia rzucona butelka. Polała się krew! Rannego sekretarza „Gwiazdy” opatrzył obecny w pensjonacie dr. Skóra, konstatując cztery rany głowy i liczne zadrapania skóry. Zawzięcie energicznej postawie przewodni-

cy był jedną z legionu bezmiejscowych nędzarzy, pozbawionych dachu nad głową i pracy.

Włóczęga stawała się coraz bardziej beznadziejna. Wreszcie Rożan-ska wynalazła sobie legowisko w opuszczonym grobowcu, na cmentarzu. Pewnego wieczora spostrzegł ją dozorca cmentarny. Przeraził się najpród srode, gdyż podobna była raczej do upiory niż do żywej istoty, a potem poznał, że to żywy człowiek. Sumiennie dozorca postanowił „przeprowadzić eksmisję ludzkiej istoty, która uzurpuje sobie prawa umarłych. W grobowcu żyć nie wolno.

Widocznie takie właśnie, a nie inne mieszkanie jej odpowiadało — pomyślał ten i ów. — Zawodowa kocowniczka. Na to nie ma rady.

Dopóki każdy z nas ma dach nad głową i parę groszy w kieszeni, wszystko jest jaknajlepiej, na najlepszym ze światów. Dopóki my nie znajdziemy się w sytuacji Franciszka Majchrzaka i Pelagii Rożańskiej, dopóki nas nie zagna los do jednego z ponurych przytułków, gdzie w koszarowych salach i kojach z papieru i łachmanów gnieźdzą się byli ludzie, wyrzuceni poza nawias społeczeństwa, dopóki nie musimy wyrabiać sobie karty bezrobocia, od szarego świtu czekać u wrót urzędów, gdzie się rejestruje liczbę

rak, ale nie daje się tym ręką robić, dopóty jest spokój. Bo my jesteśmy spokojni. Można żyć. Jest byczo. Rozpoczyna się kar-nawał.

— Kryzysu niema — skończył się w roku zeszłym — głosi jasnowidząca Madame Truc.

Ale obok tej radosnej zapowiedzi i ogłoszeń o futrach i brylantach, opisów balów i zabaw, widnieje krótka wzmianka, zoapartrozona w nieznosnie prowokacyjny tytuł:

D'a kawałka węgla

Strasza śmierć starca w noc wigilijną

„Tomasz Kostkowski (74 lat), u-dał się o zmierzchu w wieczór wigilijny na teren dworca Warszawa—Wschód, aby zdobyć kawałek węgla dla ogrzania izby. Nagle ujrzał nadchodzącego policjanta, przelask się i schował się pod stojący parowóz. W tej samej chwili parowóz ruszył, kola obcięły starcowi obie nogi. Nieszcześnie przewieziono do szpitala Przemienienia Pańskiego, gdzie wkrótce zmarł.”

Może to być jeden z baraków, może i on wędrował drogą krzyżową bezrobotnych, która wie-dzie poprzez miejskie przytułki na Okopowej, Powązkach, Dzieknej, poprzez ponure schronienia Polusa i Leszna i przez rezerwat nędzarzy na Annopolu do ostat-niego schronienia, którym bywa wspólny dół mogiły.

Przypadek — factotum dziennikarzy zawiódł mnie do tych rezer-watów nędzy i rozpacz, które ota-czają stolicę, a o których się nie wie, albo nie chce się wiedzieć.

Bezrobocie, głód mieszkaniowy, klęska bezdomności... Słowa ba-nalne, wyświechtane, osłuchane. Przywykliśmy do nich, jak do brzęku mach w skwarne połud-nie. Obją się o nieszczęsny, po-wtarzająca się co jakiś czas ofi-cjalna wzmianka, że w samej stolicy jest blisko dwadzieścia tysięcy ludzi bezdomnych, którzy wegetują w barakach, albo nocują gdzieś pod mostem, na skwa-rach, w przedsiobkach dworców, na cmentarzach.

O tych ludziach, z którymi w ciągu kilkunastogodzinnej wędrowki miałam sposobność się zetknąć, opowiem w następnych nume-rach.

BEZ KULARU W

Zuch-kobieta!

Krzepkość rasowa polskiej ko-biety jest powszechnie znana, podziwiana i niezawodna.

Zuch - dziewczyna, zuch - ko-bieta! — słyszy się nierzadko w ważnych okolicznościach, ale i w codziennym życiu i sroce z dziu-ba nie wypadło przysłowie chłop-skie, że trzy węgiel chaluzy dźwiga kobieta, a niestety tylko je-den męskim jest ciężarem.

Co tu dużo gadać?

Ale też i organizm kobiety jest mocniejszy od organizmu męskie-go. Kobieta jest wytrzymalsza na ból i wszelką udrękę. Czy któ-ry z następów Herkulesa zniósł-by tak łagodnie cięższe przypa-dłości, jakie są zwyczajnym przy-działem kobiety?

A oto jeden drobny przykład: Do pewnej sprawy w sądzie grodzkim w Krzemieńcu wezwano w charakterze świadka 24-let-nią Marię Wawrzyniak. Stawiła się na to wezwanie punktualnie, rozmawiała w poczekalni, nagle zasłabła, odeszła, trochę zasumowa-na, do sąsiedniego mieszkania, a gdy za pół godziny woźny ją wywołał, stawiła się punktualnie i głosem dobitnym złożyła swe zeznania.

Cóż w tem dziwnego i szczegól-nego? — Mógłby się ktoś zapy-tać.

Ano, nie ciekawego! Marija Wawrzyniak przez te pół godzi-ny oczekiwania zdołała powić zdrowego bęwała, spełniwszy zaś swój obowiązek wobec społeczeństwa i rodziny, nie zanied-bała również swych obowiązków przed prawem.

Zuch - kobieta! m. p.

J. B. Priestley

20)

BOHATER

Przygnębiony wiadomością o zamążpojęciu swej uko-chanej, Daisy Halcstead, Charles Hubble idzie do resta-uracji rozerwać się. Poznaj tam wyznaczonego Finnica Odeya i komunistę Kibwortha. Spędza z nimi popołudnie na dyskusji politycznej i oglądaniu modeli wywarłków Odeya. Piją prętem whisky i gdy Hubble idzie na nocną pracę do fabryki Związku Produktów Węglowych jest już mocno wstawiony.

Do fabryki wkłada się komunista Kibworth i prosi Hubble'a o przytułek. Ponieważ wyrabia się tu „węgielną”, produkt łatwo zapalny i wybuchowy, a w sąsiedztwie jest fabryka materiałów wybuchowych, więc Hubble w obawie przed eksplozją, mogącą zniszczyć całe miasto, przemysły-woy Utertton, niechętnie przyjmuje podejrzanego komuni-ście. Gdy Hubble znużony pijactwem i czuwaniem zasypia — wybuch pożar. Kibworth ucieka, Hubble rozszepany i odurzony dymem macha beładnie schwyconą naprędkę siekiera, ale w konsekwencji okazuje się, że uratował zbior-nik węgla od wybuchu.

W tym czasie znajduje się w Uterttonie Hal Kinney, dziennikarz, popularny publicysta z Londynu. Wyrzuceno go właśnie z domu Stoney-ców, gdzie miał uzyskać wy-wiad w sprawie tajemniczego samobójstwa ich syna. Za-wiadomiony o wypadku w Zw. Prod. Węgl. przez miejscowego korespondenta „Trybuny Codziennej” Chantona, Kinney chce zrobić z czynu Hubble'a wielką sensację i po-wetować sobie w ten sposób niepowodzenie ze Stoney-cym. W dodatku Hubble jest penerumotorem „Trybuny Codziennej”, więc jego bohaterstwo będzie większą atrakcją i spe-cywnością Shucklowortha, redaktora naczelny, pódzi na to.

Kinney rozmawia w fabryce bezpośrednio po pożarze z ledko oparzanym w wyroku Hubblem i upewnia się, że to świetny tyo do zrobienia z niego skr-mnego bohatera obowi-zku, wielkiej postaci „Trybuny Codziennej” i „Kur-jera Niedzielnego”.

— Wiem doskonale, co pan zrobił, — odparł Kinney z odcieniem surowości. Skromność Hubble'a szła stano-wczo za daleko. — Jutro cała Anglia będzie o tem wiedziała. Opis tego zdarzenia znajdzie się na pierwszej kolumnie „Trybuny”.

Zwrócił się do pełnego podziwu Chantona:

— Co z fotografem?

— Zaraz przyjdzie. Zamówilem go właśnie.

— Dobrze. Nie panie Hubble, tego się nie da uniknąć. Wiem, pan uważa, że spełnił tylko swój obowiązek, nie chce pan rozgłosu, ale to się już stało. Nie można urato-wać całego miasta od zagłady — lubował się we wła-snym patosie — i być niedostrzeżonym. Pan spełnił swój obowiązek. Teraz proszę mi pozwolić spełnić mój. A mo-im obowiązkiem jest zawiadomienie wszystkich czytelników „Trybuny Codziennej” i „Niedzielnego Kurjera” o tym niezwykle doniosłym fakcie, że Anglia potrafi jeszcze rodzić bohaterów i że jednym z nich jest Charles Hubble z Uterttonu.

Właśnie doktor ukończył opatrunk i wpadł w na-puszoną tyradę oschłym, rzeczowym tonem:

— Jeszcze dwa razy okład z oliwą i ramię będzie całkiem wygojone. Narazie trzeba je trzymać możliwie nieruchomo. Najlepiej położyć się jaknajprędzej do łóżka i zażyć dwa proszki.

Podał mu pudełeczko:

— Będzie pan potem świetnie spał.

Po odejściu lekarza Kinney został znowu panem sy-tuacji, ale nie wyrażał się już tak wzniosło.

— A teraz niech minie pan posłucha, panie Hebble. Jeszcze w nocy chciałbym dać „Trybunie” szczegółowe sprawozdanie z pańskiego wypadku, żebyw ie można

umieścić w jutrzejszym rannym numerze. Pan jest po-parzony i zmęczony, więc proszę się położyć.

Hubble odzyskał mowę:

— Kiedy ja nie wiem, czy mogę iść do domu.

— Czy pan może?

— No tak. Widzi pan, w tym tygodniu pracuję w no-cnej zmianie i będę mógł odejść dopiero o wpół do siód-mej rano.

To było dobre! Co za temat! Kinney już widział świetną szpalte w swoim sprawozdaniu: chłop ccałi całą fabrykę, uratował miasto, został przytem poparzo-ny — i jeszcze nie wiedział, czy mu wolno pójść do do-mu, bo... nie miał oficjalnego pozwolenia!

— Ma się rozumieć, że może pan pójść, jeśli to jest dla pana konieczne. — uśmiechnął się do niego — nie w tem sek. Sek w tem, że musi mi pan trochę pomóc, jeśli mam zdążyć z podaniem na czas jaknajpełniejszego sprawozdania. Musi mi pan dać szczegóły o pań-skiem życiu, potrzeba kilku fotografii..

— Co tu się odbywa za gadanina?

Na dźwięk nowego głosu bohater podskooczył. Kinney odwrócił się. Do pokoju weszli dwaj pełni autorytetu panowie. Ten, który się odezwał, młodszy, miał ostre rysy twarzy i był w fatalnym humorze. Drugi w śred-nim wieku, pulchny, z zawieszonym wąsem; otaczała go nieuchwytna atmosfera bogactwa.

— Dobry wieczór panie Oglesby. — przywitał pierw-szego Chanton, bardzo zmieszany. — Przedstawiam pa-nu pana Hala Kinneya, pan wie, to znanu publicysta z „Trybuny”.

(D. c. n.)